



NINA ANDRYCZ
w obiektywie Zofii Nasierowskiej

Samotność w teatrze

Miała dwa teatry. Jeden prawdziwy, na scenie. Drugi – w codziennym życiu. W obu odgrywała rolę osoby wyjątkowej, wielkiej, nie z tego świata.

JACEK TOMCZUK

Starość była dla niej łaskawa. Mimo że przekroczyła setkę, jeździła jeszcze na wakacje do spa, urządziła urodziny, wydawała książki, chodziła na sylwestry. Tego ostatniego spędziła u Haliny Szpilman, żony słynnego kompozytora. Były tartinki z kawiozem, czerwone wino oraz dużo wspomnień. Wróciła do domu w doskonałym humorze o wpół do trzeciej. Przyjaciółka wprowadziła ją na trzecie piętro i położyła do łóżka. Wtedy spojrzała na jej nogi: były opuchnięte i sine, miazdżycza w zaawansowanym stadium.

Tydzień później Nina Andrycz trafiła do szpitala. Prawie nikt o tym nie wiedział. - Przyjaciół się nie zawodzi - mówiła. Całe życie widzieli ją przecież wyprostowaną, w makijażu, od fryzjera, elegancką, z podniesioną głową. Jak teraz miałyby się pokazać? W szlafroku, obandażowana, z nogami jak baniaki i wielkimi czarnymi plamami na twarzy i rękach? Nie chciała powiadomić przyjaciół, że jest z nią źle. Jeszcze zechcą przyjść, zadzwonić. A ona niedosłyszała, rozmowa ją męczyła, z coraz większym trudem składała myśli. Nie chciała się nikomu pokazywać w starczej bezsilności.

Nie dziwi się temu aktor Ignacy Gogolewski, jej wieloletni przyjaciel: - Miała dwa teatry. Jeden to Teatr Polski, scena przy ulicy Karasia w Warszawie. Tam grała rolę kobiet władczych, wysoko urodzonych, silnych. Ale drugi teatr był nie mniej ważny: to teatr życia codziennego, w którym odgrywała rolę osoby wyjątkowej, wielkiej, nie z tego świata.

Nina Andrycz zmarła 31 stycznia w Warszawie. Miała 102 lata.

W teatrze bez przyjaciół

Do teatru przychodziła dwie i pół godziny przed spektaklem, kiedy inni aktorzy jeszcze siedzieli w domach. Przywoził ją specjalnie wysłany kierowca, kiedyś Urzędu Rady Ministrów, później teatralny. Zawsze zaglądała do kas, żeby spytać o frekwencję. Lubiła usłyszeć, że jest komplet. Chociaż deklarowała, że teatr to jej drugi dom, z aktorską rodziną się nie przyjaźniła. Była lubiana, kiedy coś trzeba było załatwić: mieszkanie, przydział na samochód, cegły na budowę. Pomagała chętnie, jednak częściej mogła usłyszeć za plecami plotki o swoich zakupach w Paryżu, kolacjach z Gomulką. Może dlatego nie lubiła bufetu. Garderobiana przynosiła jej herbatę do garderoby, a jak zgłodniała, to rybę po grecku i udko kurczaka. - Diety pani Nina nigdy nie stosowała - śmieje się Barbara Różycka, jej ostatnia garderobiana.

Andrycz nienawdziła, kiedy aktorzy nie pamiętali tekstu. Ona znała każde słowo swojej roli już na pierwszej próbie. Któregoś razu, gdy koledzy wciąż grali, zerkając w kartki, nie wytrzymała. - Proszę zadzwonić do mnie, jak aktorzy nauczą się sztuki - powiedziała do reżysera i wyszła z teatru.

Wierzyła w rzemiosło nienaganne pod względem dykcji i emisji. Nie znosiła pauz. - Kiedyś w „Krzesłach” zrobiłem pauzę nieco dłuższą niż zwykle, pani Nina nie wytrzymała i teatralnym szeptem zaczęła mi podpowiadać tekst, jakbym go zapomniał. Oczywiście pierwsze rzędy to słyszały, poczułem się upokorzony. Po spektaklu, kiedy

tylko kurtyna opadła, w emocjach mówię: „Pani Nino, w tym teatrze jest osoba od podpowiadania tekstu. Nie musi pani tego robić” - wspomina Gogolewski. - Obraziła się wtedy śmiertelnie. Najbardziej ją bolało, że zwróciłem jej uwagę, jak potem powiedziała, „przy służbie”. Miała na myśli zespół techniczny teatru.

Do służby była przyzwyczajona i w domu, i w teatrze. Sama nie sprzątała i nie gotowała - kiedy gosposia nie zostawiła jej obiadu, miała w lodówce mrożoną pizzę, parówki oraz dobre piwo. W teatrze zespół techniczny musiał być gotowy do spełniania wszelkich żądań: od cerowania prywatnej bielizny („zawsze podkreślała, że to z Paryża”) po rozwożenie rachunków po mieście.

Kwiaty są?

Właściwie nie dawała się reżyserować. Przekonana o własnej wielkości, dopuszczała do głosu reżysera, po czym zwykle robiła swoje. - Kiedy zaczynałem do niej mówić, schodziła ze sceny i siadała na balkonie, patrząc na mnie z góry - śmieje się Zdzisław Wardejn, aktor i reżyser. - Tłumaczyłem coś 10 minut o złożoności postaci, a ona: „Znaczy, mam usiąść?” - wspomina.

Każdy reżyser musiał znaleźć na nią sposób: jedni chwalili („Pani Nino, praca z panią to wyróżnienie, wspaniała próba, wspaniała”), inni odpuszczali już na początku („Pani Nina poradzi sobie, zajmijmy się resztą”). Słynny Konrad Swinarski, żeby wyrwać wielką aktorkę z samouwielenia, przyniósł na próbę małego pieska. Wielka dama teatru, jak o niej mówiono, nie mogła skupić się na gestykulacji, ▶



1959 ROK Na balu sylwestrowym KC PZPR z mężem Józefem Cyrankiewiczem



1958 ROK W roli Marii Stuart, Teatr Polski w Warszawie

► musiała uspokajać zwierzaka gryzącego jej nogi i drącego jedwabną suknię.

Miała emploi królowej. Publiczność ją kochała. Andrycz w egzekwowaniu swoich praw do ról koronowanych głów potrafiła być bezwzględna. W połowie lat 70. ówczesny dyrektor Teatru Polskiego ośmielił się oddać rolę Marii Stuart Elżbiecie Barszczewskiej. Andrycz nie mogła tego przeboleć. Na pierwszej próbie kostiumowej Barszczewska zaplątała się niefortunnie w suknię i upadła. - Panie dyrektorze, człowiek upadł na scenie - Andrycz ostentacyjnie zwróciła się do reżysera, zamiast pomóc koleżance.

W 1994 roku zaczęły się próby do „Popołudnia kochanków”, opowieści o spotkaniu po latach Katarzyny Wielkiej ze Stanisławem Augustem Poniatowskim. - Kazimierz Dejmek jako dyrektor zaproponował główną rolę Halinie Łabonarskiej. Po paru tygodniach spotkał się z zespołem, zaczął tłumaczyć, że coś idzie nie tak, trzeba to przemyśleć, i w końcu zawiesił próby. Tak naprawdę Andrycz nie darowała mu, że rola carycy może przypaść innej aktorce. Tak długo męczyła Dejmka, aż ten ustąpił - wspomina Ignacy Gogolewski.

Konieczny był cały rytuał. Kwiaty do domu, tłumaczenia, że Łabonarska nie dała rady, prośba o pomoc. Wreszcie łaskawie Andrycz się zgodziła. Miała wtedy ponad 80 lat, ale wciąż wierzyła, że jest atrakcyjną kobietą zdolną do scenicznego romansu.

Cztery lata wcześniej umarła Irena Eichlerówna. Do Andrycz zadzwoniła dziennikarka „Expressu Wieczornego”. - No to co? Wszyscy umierają.

Dziennikarka była przerażona: - Jest prośba z redakcji, żeby pani skomentowała.

- Irena Eichlerówna. Tak, duży talent, duży talent. A ja i duży talent, i uroda - powiedziała Nina Andrycz.

- Zapewne wspaniale wyglądała do samego końca. Byłem u niej dwa lata temu. Miała taki portret z 1938 roku, stawiała obok i mówiła: „Zobacz, sylwetka, wszystko na miejscu?”. I rzeczywiście było - wspomina reżyser Jerzy Gruza.

Kochała kwiaty, to był jej słaby punkt. - Gdy ktoś zapowiadał się z wizytą w garderobie, Andrycz wołała mnie i pytała: „Kwiaty są?” - mówi Barbara Różycka. - Jak nie było, nici ze spotkania, autografów, wyrazów szacunku dla aktorki. Kiedyś po spektaklu za kulisami zjawiają się amerykańscy dyplomaci. W teatrze poruszenie, ważni goście. Andrycz zadała tradycyjne pytanie o kwiaty. Na szczęście ktoś ich uprzedził o zwyczajach pani Niny.

Bukiet czerwonych róż przyjechał z nią aż z Chicago, dokąd wyjechała z „Krzyształami”. Fanki, jeszcze przedwojenne, przychodziły do garderoby i kłęczały w progu, aby oddać hołd diwie.

Zdradzona królowa

- Gdybym mu urodziła przynajmniej wieściorkę, zostałyby ze mną do końca życia

- mówiła o mężu, Józefie Cyrankiewicz. Poznała go w 1947 roku. On był najmłodszym premierem w Europie, ona zdolną aktorką, która wróciła do grania po latach bycia kelnerką podczas II wojny światowej. Po paru miesiącach została jego żoną i przeniosła się do 170-metrowego mieszkania w alei Róż, gdzie mieszkała wtedy elita władzy. Nie chciała rzucać teatru, nie chciała mieć dzieci. - Tylko urodź, ja zajmę się resztą - prosiła ją matka. Odpowiadała, że ma wstręt do ciąży. - Jako aktorka bez przerwy rozmnażałam się psychicznie. Bo, jak mówi bohaterka mojej sztuki „Lustro”, kiedy jest się naprawdę gwiazdą, to nie rodzi się dzieci, rodzi się role - wspominała po latach. Nigdy nie ukrywała, że dokonała aborcji.

Któregoś dnia premiera rozboleł ząb, więc poszedł na drugą stronę ulicy do najbliższego gabinetu. Przyjęła go miła dentystka, matka trójki dzieci. Romans rozwinął się na tyle szybko, że w 1958 roku Cyrankiewiczowi urodził się syn. Gogolewski pamięta, jak niania jego córki spacerowała z nianią syna premiera po Łazienkach. Cyrankiewicz chciał rozwodu, lecz nie zgodził się na to Gomulka: premier nie może dawać narodowi złego przykładu.

- Nina grała żonę premiera, ale właściwie to królową Polski. I to bardzo efektywnie - wspomina Krzysztof Zanussi, reżyser. Opowiada, jak w Warszawie przyjmowano oficjalny wyjazd pary do Indii w 1960 roku. - Myśmy wszyscy mieli mieszane uczucia:

z jednej strony, to była taka kreacja komunistyczna, ale z drugiej bardzo odbiegała od komunistycznej tradycji. To była wtedy jedyna pierwsza dama, która pojawiła się publicznie, i to w bardzo dobrym stylu. Choć może nie kojarzyło się to z demokracją, a raczej z monarchią. Z drugiej strony, budziło to rodzaj dumy, że jesteśmy reprezentowani za granicą przez niezwykle piękną kobietę, która na tle tej proletariackiej władzy nosiła się jak monarchini.

Rozwiedli się dopiero w 1968 roku, kiedy Cyrankiewicz zaszantażował Gomułkę, że odejdzie z rządu, jeśli nie dostanie rozwodu. Pierwszy sekretarz KC PZPR miał ważniejsze sprawy na głowie, zgodził się.

- To była kobieta praktyczna i racjonalna, rozwód ją zabolął, ale nazwiska nie zmieniła. Wciąż była Andrycz-Cyrankiewicz - mówi Liliana Śnieg-Czaplewska, dziennikarka i przyjaciółka aktorki. Została w 170-metrowym mieszkaniu, jeszcze przez dekadę do jej dyspozycji był ministerialny peugeot 405.

Po rozwodzie z premierem akcje Niny Andrycz w teatrze spadły. Zrobiło się chłodniej wokół niej, zagrała nawet panią Dulską, co jeszcze parę lat wcześniej było nie do pomyślenia.

Teatr życia codziennego

- Słabi aktorzy często rekompensują sobie niespełnienie w teatrze, zagrywając się w życiu prywatnym. Dobrzy, schodząc ze sceny, nie muszą już niczego udawać. Nina Andrycz to rzadki przypadek aktorki, u której role teatralne i życiowe były najwyższej próby - śmieje się Gogolewski.

Nie przepadała za kobietami. Kiedy jej ulubieniec Jan Englert związał się z Beatą Ścibakówną, przekręcała złośliwie jej nazwisko na „Ćworek”. Miała także patent na mężczyzn: pytała ich o radę. - Zadzwoń mi kiedyś do mnie i zapytaj o tym swoim niepowtarzalnym akcentem: „Będzie dziś u mnie telewizja i musi mi pan poraździć: czy założyć etolę od Mao Tse-tunga, czy suknię od premiera Nehru?” - wspomina reżyser i były dyrektor Teatru Polskiego Jarosław Kilian.

Nie lubiła improwizacji na scenie ani w życiu. Dobrze pamiętała problemy z Jerzym Waldorfem, którego księża nie chcieli pochować na Powązkach, chociaż to on organizował kwesty na rzecz zaniedbanej nekropolii. Miejsce jej pochówku nie mogło być przypadkowe. Książka na Powąz-

kach nie był zachwycony: po pierwsze, była prawosławna (urodziła się w Brześciu Litewskim), po drugie - po trzech aborcjach. I wreszcie - żona premiera Cyrankiewicza, który podczas wydarzeń czerwcowych w Poznaniu w 1956 roku mówił, że władza utnie ręce każdemu, kto wystąpi przeciw ustrojowi komunistycznemu.

Miała pod setkę, ale ksiądz kazał jej czekać cztery godziny przed drzwiami w kolejce, co Andrycz uznała za wielki afront. - Może spopielić? Nigdy, boję się ognia. Robaków zresztą też. Proszę mnie dobrze zamurować, by nic się nie dostało.

Miała tylko jedną prośbę: chciała leżeć koło Gustawa Holoubka, choć nigdy z nim nie grała. - Gustaw leży w alejce prowadzącej do Alei Zasłużonych, więc powiedzenie, że chce leżeć obok niego, od razu ustawiło ją w centrum Powązek. Ludzie idąc do niego, będą musieli przejść obok pani Niny. Nie dość, że wybrała nawet rzeźbę, jaka ma stanąć na nagrobku, to była na tyle przewidująca, że kazała zrobić trzy kopie na wypadek, gdyby ktoś zechciał ją ukraść. Grób wykupiła na 99 lat. Taka była pani Nina. Teatr do końca - mówi Ignacy Gogolewski.

Przez 70 lat występowała w Teatrze Polskim w Warszawie, przez dekady była jego gwiazdą. Przyzwyczała się do aplauzu, rozgłosu, holdów. Ciagle myślała, że jest w centrum zainteresowania, nie dopuszczała myśli, że coraz bardziej przechodzi do historii. - Miała wielki niedosyt grania, nie chciała rozstać się ze sceną, tyle że propozycji ról było coraz mniej. Właściwie dlatego zaczęła pisać - poezję, potem powieść, na koniec wspomnienia - mówi Gogolewski.

Kiedy w zeszłym roku dostała nagrodę krytyków za całokształt pracy na scenie, dziwiła się, że dzienniki nie poświęciły temu pierwszych stron. Zgodziła się wystąpić w roli Sarah Bernhardt i nakręcić kilka scen, które będą wykorzystane w musicalu „Polita” Janusza Józefowicza. Kiedy po premierze dopytywała się, jak wypadła, nikt nie miał odwagi jej powiedzieć, że do spektaklu nie weszła ani sekunda z jej udziałem. Kiedy podarowała suknię z „Marii Stuart” do Muzeum Teatralnego w Warszawie, pytała, czy wisi na honorowym miejscu. Trzeba było kręcić, że tak, choć kreacja zaległa gdzieś w magazynie.

Przez 50 lat mieszkała w alei Róż, tuż przy Łazienkach. Kiedy zgłosiła się właścicielka kamienicy, okazało się, że tylko

Andrycz nie wykupiła na własność mieszkania. - Jakby wierzyła, że nikt jej nie może stamtąd ruszyć - mówią przyjaciele. Właścicielka zażądała 2 tys. dol. czynszu, aktorka negocjowała, prosiła, jednak w końcu musiała przenieść się do mieszkania wielkości dotychczasowego przedpokoj (40 metrów) w najbardziej ruchliwym miejscu stolicy, na skrzyżowaniu Marszałkowskiej i Alej Jerozolimskich. Przyjaciele pomogli jej zorganizować wielką wyprzedaż: coś trzeba było przecież zrobić z gigantycznym łóżem małżeńskim z przedwojennej spółdzielni Ład, dywanami przywiezionymi z Chin, wazonami z Indii. Resztę rozdała bezdomnym, samotnym matkom, znajomym. Pomagała też w utrzymaniu domu starego aktora w Skolimowie.

Tęsknota za córką

- Pani Nina przez lata wmawiała, przekonywała, utrwalała, że jest wielką aktorką i w ogóle kimś wielkim. Aż Polacy w to uwierzyli. Kiedyś na przystanku jakiś mężczyzna zapytał mnie całkiem na poważnie, czy wiem, że Nina Andrycz dostała Oscara - zauważa Gogolewski.

Za tę wielkość płaciła wysoką cenę. Musiała odmówić sobie małych, prostych przyjemności, których damom, gwiazdom, heroinom robić nie wypada. Nie wypada pójść do kina, na spacer po Krakowskim Przedmieściu, na kawę, na basen. Takie spontaniczne sytuacje narażały ją na zwyczajność, bała się ośmieszenia. Przez lata unikała nawet spotkań z kolegami aktorami. Chociaż w ostatnich miesiącach spokorniała. Lubiła przejść się po Marszałkowskiej, Alejach Jerozolimskich, wypić piwo w ogródku przy Nowogrodzkiej.

- W szpitalu leżała w sali wieloosobowej, powtarzała, że należy się jej jedynka - mówi Śnieg-Czaplewska. - Powtarzałam, że doświadczy jeszcze trochę zwykłego życia. Do kobiety z sali przychodziła córka. Niezwykle czule zajmowała się matką, siedziała z nią po 12 godzin, gładząc po rękach, myjąc, czytając, masując. Któregoś razu patrząc na nią, powiedziała: „Taką córkę warto byłoby urodzić”. W ogóle nie przyszło jej do głowy, że dziecko trzeba wychować.

Współpraca Adam Sierko



Napisz do autora
jacek.tomczuk@newsweek.pl